

PROLOG

Jeśli charakter pisma świadczy o charakterze człowieka, to Bruce Lee był tego najlepszym przykładem. Miał wprawne, wytrenowane pismo, a jego uporządkowany notatnik odzwierciedlał porządek, jaki panował w jego głowie, duszy i ciele. Choć jego myśli są stare jak świat, to w moim odczuciu brzmiały wyjątkowo świeżo i aktualnie. Tak jakby Bruce Lee Foundation opublikowała skany jego notesu specjalnie dla mnie, żebym mogła je sobie wydrukować i powiesić nad łóżkiem. *Nikt nie może cię skrzywdzić, dopóki mu sam na to nie pozwolisz. Wewnętrznie, psychicznie bądź nikim. Bądź jak woda.*

Dla kogoś, kto przeżył kiedyś nieprzyjemną przygodę związaną z wodą, może to brzmieć ironicznie. Tamto

zdarzenie sprzed czterech lat trochę nadwątlilo moje poczucie bezpieczeństwa i naruszylo dziecięcą wiarę w to, że świat jest dobrym i przyjaznym miejscem. Ale i tak nigdy nie narzekałam na swoje życie. Jak tu narzekać, gdy obok mnie siedzą przy komputerach moi dwaj najwierniejsi przyjaciele płci męskiej i wiem, że choćbym im nieźle zalazła za skórę, to zawsze zachowają się z klasą.

Poprawka. Jeden z nich porykuje właśnie jak neandertalczyk i wali rękami w blat biurka niczym ranny orangutan, więc może troszkę trudno byłoby go w tej chwili uznać za faceta z klasą. Ponieważ znamy się nie od dzisiaj, wiem, że w wolnym tłumaczeniu na język homo sapiens jego ryki oznaczają: „Ojej, coś nie bangła w moim programie, muszę przejrzeć kod od samego początku”.

Chwilę później ciche *ping* zwiastuje nadejście wiadomości na Messengerze. Rzucam okiem na ekran i widzę emotkę o tępej twarzy człowieka pierwotnego z wyraźnie zarysowanym grubym walem nad oczodołami. Mój drugi wierny kumpel od pewnego czasu tworzy swoją własną, unikalną kolekcję emoji, podle żerując na emocjach swoich przyjaciół. Trzeba przyznać, że wystarcza mu kilka sprawnych ruchów piórka na tablecie, żeby je oddać z porażającą wprost precyzją. Emotka o twarzy neandertalczyka ma zapewne znaczyć: „jesteś podgatunkiem człowieka myślącego”, i nie mam żadnych wątpliwości, kto dosłownie przed chwilą stał się inspiracją do jej powstania. Lepiej się ewakuuję, zanim rozpęta się tu piekło.

No dobrze, nie będę ukrywać, że moi dwaj przyjaciele od zawsze sobie dokuczają. Chyba nie ma na świecie dwóch bardziej różnych od siebie facetów, którzy dobrowolnie spędzaliby ze sobą trzy czwarte doby, siedem dni w tygodniu. I nie zamierzam też ściemniać, że mnie ich złośliwości omijają, ale ogólnie stanowimy naprawdę zgrany zespół, a przede wszystkim szanujemy się nawzajem. Choć nie wykluczam, że ktoś postronny i niewtajemniczony mógłby mieć czasami co do tego poważne wątpliwości.

A jeśli mowa o tamtym ponurym wydarzeniu nad wodą, to muszę przyznać, że miało swoją dobrą stronę. Dzięki niemu zabrałam się ostro za siebie i teraz jestem tym, kim jestem.

A nie bezradną dziewczynką.

* * *

Uwielbiam anegdoty o dawnych mistrzach, które opowiada mi trener, gdy widzi, że nie daję rady, albo wtedy, gdy trzeba mi utrzyć nosa. Swoimi opowieściami potrafi zdziałać cuda: inspiruje, motywuje, uczy pokory i cierpliwości lub po prostu pociesza, gdy liżę rany po nieudanym treningu.

Pamiętam opowieść o zarozumiałym uczniu, który przyszedł do mistrza po naukę, a ten poczęstował go herbatą. Tak długo lał parujący napar do czarki, aż się przepełniła i herbata rozlała się po podłodze. „Co robisz, mistrzu?” – zapytał uczeń. „Sprawdzam, czy do przepełnionej czarki

da się jeszcze coś nalać” – odparł mistrz, a uczeń odszedł jak niepyszny. Ta historia chodzi za mną dzień w dzień i przypomina, że choćbym nie wiem, ile umiała, zawsze mogę nauczyć się więcej.

Lubię uroczą anegdotę o mistrzu Yang Luchanie, który uwięził jaskółkę na otwartej dłoni. Choć jej nie trzymał, jaskółka nie mogła odlecieć. Ale chyba najbardziej zawsze pociągała mnie opowieść o jednocalowym ciosie mistrza Lee. Przez długie lata ten rodzaj uderzenia był zagadką z punktu widzenia praw fizyki – bo jak cios, który pada z centymetrowej odległości, może całkowicie znokautować przeciwnika? Może, wyjaśniał mi cierpliwie trener, jeśli zależy nie od siły mięśni, lecz od koordynacji, szybkości i energii. Taki cios nie zaczyna się w ramieniu, lecz wychodzi z nogi i generuje energię, która potrafi odrzucić przeciwnika nawet na parę metrów. Dla dziewczyny, która nigdy nie przeskoczy tego banalnego faktu, że jej mięśnie nie mogą się równać z męskimi, było to wielkie odkrycie. Nie da się ukryć, zadziało na moją wyobraźnię, i to bardzo.

To na treningach dojrzałam do tego, żeby przestać o sobie myśleć jak o bezsilnej nastolatce. Przełom nastąpił, gdy po trzech latach ćwiczeń wskoczyłam wreszcie na wyższy poziom i po każdym zajęciu musiałam rozmasowywać sobie tyłek. Trener ustawił mnie z zaawansowanymi, którzy nie patyczkowali się ze mną jak z przedszkolakiem, tylko wyprowadzali prawdziwe ciosy i kładli na ziemię. Samo bycie jedną z nich, choćbym była jeszcze technicznie naj słabsza, stanowiło dla mnie źródło nieustającej frajdy i sa-

tysfakcji. Żadna liczba okładów na siniaki nie była w stanie zmącić mi tej radości. Wreszcie poczułam się silna.

Czułam, że w tym, co robię, jest jakiś sens i że kiedyś może mi się to bardzo przydać. Ale w najśmielszych snach nie spodziewałam się, co z tego wyniknie.